

TOMASZ BIEDRZYCKI



KRWAWY
OBŁĘD

TOMASZ BIEDRZYCKI

KRWAWY OBŁĘD

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2016
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez zgody autora
All rights reserved

Okładka
Gerd Altmann

Korekta
Agnieszka Koprowska

Wydanie I
Jelenia Góra 2016

ISBN 978-83-64514-68-5

www.tomaszbiedrzycki.pl

PROLOG

Obudził się, czując jak gwałtownie bije mu serce. Oddychał dłuższą chwilę, patrząc w ciemność nocy. Czuł powietrze przesycone stęchlizną i wilgocią. Szybko mrugał oczami, starając się przepędzić koszmar, męczący go całą noc. Obraz z więziennej celi, odczucia bólu i upokorzenia, przeplatające się z drwiącym śmiechem prześladowców. Doskonała pamięć była jego przekleństwem od najmłodszych lat. Przetarł dłonią twarz, ścierając pot. Uspokajał się powoli, zwracając wzrok w stronę wąskiego okna o odrapanej, wypaczonyj ramie. Niebo szarzało, wieszcząc nadchodzący dzień. Potrząsnął głową. Wiedział, że nie uśnie. Musiał się przejść. Sięgnął po znoszone spodnie. Ubrał je, założył na grzbiet pierwszą rzecz z brzegu i ruszył ku drzwiom. Do głowy przyszło mu rozwiązanie. Butelka — tak, napić się. Wyszedł na korytarz, nie troszcząc się o zamknięcie pokoju. W tej kamienicy, zamek w drzwiach miała tylko sześćoosobowa rodzina z parteru, którą urząd miasta zakwaterował miesiąc temu. Parsknął na myśl o przestraszonych biedakach z czwórką dzieci, nie mających środków do życia. Niepijący, oboje pracujący gdzieś na śmieciówkach. Starzy wyjadacze z okolicy nie wychodzili z podziwu. Jak można było tak się zarzynać, gdy Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej dawał na wszystko? Wystarczyła awantura i krzyk, a pieniądze na papierosy i wódkę zawsze się znalazły....

Pokręcił przecząco głową, idąc krótkim korytarzem. Odrapane ściany straszyły nawet o tej porze, całymi fragmentami oderwanego tynku. Ocalałe połacie zdobiły graffiti i wyznania okolicznych zakochanych, najczęściej w niewybrednym języku.

Wyszedł przed zrujnowany ganek, głęboko wciągając chłodne powietrze. Natychmiast orzeźwiło go, odganiając obrazy sennych mar. Przeszedł pustą ulicą, kierując się na pasaż spacerowy, ciągnący się wzdłuż rzeki do samego centrum. Idąc, wyciągnął z kieszeni pogniecionejgo papierosa. Skrzywił się sceptycznie, ale pomny, że nie ma więcej, ostrożnie oderwał uszkodzony fragment i zapalił. Zaciągnął się z lubością, kątem oka dostrzegając idącą naprzeciwko postać. Zdziwiony opuścił dłoń. Rzadko się zdarzało, by o tej porze ktoś tędy chodził. Był coraz bliżej. Osoba z naprzeciwka z pewnością gdzieś się spieszyła. Nieco niższa, znacznie cięższa, okryta czarnym płaszczem, doskonale chroniącym przed zimnem. Wydawało mu się, że skądś zna tę sylwetkę, ten chód. Byli już blisko siebie. Postać nie spoglądając na niego, powiedziała półgębkiem.

— Dzień dobry... — przepaszającym tonem, natychmiast pochylając głowę, ukrywając się pod kapturem. Mignęła mu okrągła, nalana twarz kobiety. Nie wstrzymywał kroku, ale poczuł ukłucie niepokoju. Odległy obraz dawnych wydarzeń, niczym echo, pojawił się w jego umyśle. Nie do końca panując nad sobą, zawrócił. Ruszył śladem kobiety, przyspieszając z każdą chwilą. Zapomniał o alkoholu, papieros zgasł mu w ustach, gdy tak pędził do przodu. Postać drgnęła, słysząc szybkie kroki za sobą. Zatrzymała się, słysząc zdyszany głos mężczyzny.

— Dyrektorka Marewska? — Kobieta powoli obróciła się, zsuwając kaptur z krótko ostrzyżonej fryzury, zafarbowanej na ciemny kolor. Zmrużyła oczy, starając się w nadchodzącym człowieku rozpoznać twarz. Zmarszczyła czoło, próbując przypomnieć sobie te rysy. Nie pamiętała tych bladych oczu bez wyrazu, wpatrujących się w nią.

— Nie pamięta mnie pani? — Cofnęła się pół kroku. W zapytaniu wyczuła nutę narastającej agresji. Skuliła się w sobie, jakby odruchowo chroniąc się przed ciosem.

— Co za niefart... — splunął prosto pod nogi kobiety. Obrócił na moment głowę w stronę rzeki i odetchnął głęboko. Gdy ponownie spojrzął na Marewską, jego oczy płonęły wściekłością.

— Ty mnie nawet nie pamiętasz... a ja każdego dnia marzyłem, żeby spotkać cię tak, jak dziś — nic nie odpowiadała, sądząc, że jakiegokolwiek słowa jeszcze bardziej zaognią niebezpieczną sytuację. Gra emocji na jej twarzy świadczyła o tym, że gorączkowo przeszukuje pamięć.

— Teraz siedzę w śmierdzącej norze, wszystko dzięki tobie! — Stracił panowanie nad sobą. Spiał się nagle jak sprężyna i uderzył, trafiając kobietę dokładnie w środek okrągłej twarzy. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Wydała stłumiony okrzyk, bardziej ze strachu, niż z bólu i zatoczyła się do tyłu. Jej tusza nie pozwoliła złapać równowagi.

— Nie znam cię — wydusiła z siebie stłumionym głosem. Usłyszał w nim strach i nagle coś wewnątrz niego pękło. Skoczył ku kobiecie. Marewska usiłowała nieporadnie się podnieść, ale nie dał jej szansy. Wewnętrzny ból, tłumiony od wielu lat, teraz kazał mu uderzać. Raz za razem. Nie patrzył, czy ktoś aby nie obserwuje starcia. Zdarł ze swej ofiary kaptur i uderzał w jej głowę. Pięściami, starając się uciszyć jej słabnące jęki. Wreszcie umilkła.

Sprawca oddychał szybko, jak po długim biegu, klęcząc przy nieprzytomnej. Nie rozumiał co się z nim dzieje. Cały ciężar, dławiący dotąd jego umysł znikł. Ot tak, w jednej chwili. Rozejrzał się gwałtownie. Gdzieś w oddali zabłyśły światła samochodu, przez pobliskie skrzyżowanie przemknęła taksówka. Obrzucił nienawistnym spojrzeniem bezwładne ciało i podjął decyzję. Sięgnął po jedną z kostek brukowych, jaka pozostała po remoncie pasażu. Nie analizował, nie zastanawiał się nad swoimi reakcjami. Zrobił to, co podpowiadała mu podświadomość. O czym marzył od tak dawna...

Wydawało mu się, że po pierwszym uderzeniu głowa kobiety odskoczyła na bok. Uderzał coraz silniej. Jak w amoku. Raz za razem, w całkowitym milczeniu. Jedyнным dźwiękiem było pęknięcie kości czaszki ofiary. Odrzucił kamień wprost do wody. Wpadł z głośnym pluskiem. Niewiele myśląc, pociągnął zamordowaną za kostki wprost ku rzece. Nie rozglądając się, zrzucił ją śladem narzędzia zbrodni, wprost w nurt. Uczucie euforii uderzyło mu do głowy. Sycące, wypełniające każdą komórkę ciała. Triumf, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Usiadł nad samą wodą i zanurzył w niej zakrwawione dłonie. Powoli, nie śpiesząc się, obmywał je. Ściągnął poplamioną kurtkę i sceptycznie przyjrzał się śladom zabójstwa. Nie był do niej przywiązany. Odpalił zgaszonego papierosa, wciąż trzymanego w ustach i zaciągnął się. Nigdy dotąd nie czuł się tak dobrze. Nawet, gdy za odłożone pieniądze był ten jeden raz u prostytutki. Tam była chwilowa satysfakcja i szybka ucieczka ze wstydem. Jakby zrobił coś złego. Teraz oglądał swoje dłonie, jak gdyby widział je pierwszy raz w życiu. Teraz ta dziwka nie splawiłaby go tak łatwo!. O, za tą stówę zrobiłaby znacznie więcej.... Gwałtownie wstał. Kopnięciem wrzucił leżącą obok kurtkę do wody. Ruszył wzdłuż rzeki biegiem. Czuł, że ten dzień będzie kompletny dopiero wtedy, gdy poczuje w gardle ostre drapanie mocnego trunku. Na myśl o tym, jego twarz pojaśniała. Przyspieszył kroku, nie czując otaczającego go chłodu. To był jego DZIEŃ!

ROZDZIAŁ I

Dwa radiowozy zasłaniały część rzecznej zatoczki przed wzrokiem ciekawskich. Mimo znacznego oddalenia od gospodarskich zabudowań, kilkunastu mieszkańców pofatygowało się do kępy trzciny, gdzie syn sołtysa odkrył ciało martwej kobiety. Wiadomość o tym błyskawicznie obiegła niewielką wioskę. Gapie przeszkadzali policjantom w zabezpieczeniu miejsca odnalezienia zwłok do momentu, w którym pojawił się niepozorny, szary, wysłużony sedan. Dopiero wtedy jeden z posterunkowych energicznie huknął na kilku wyrostków, stojących tuż przy zabitej.

— Sierzancie! — Niski, nieprzyjemny głos należał do kierowcy sedana. Barczysty brunet, odziany w ciemny płaszcz, doskonale czułby się w mundurze. Krótko ostrzyżone włosy układały się w typowo wojskową fryzurę. Towarzyszyła mu szczupła, koścista kobieta dobiegająca pięćdziesiątki.

— Wydział zabójstw — rzucił krótko, prezentując legitymację nadkomisarza. Nie przedstawił się, nie zagadnął ani jednym słowem. Poczekał, aż dowodzący podoficer zapozna się z treścią dokumentu. Dopiero wtedy wpadł na niego z całym impetem.

— Co to za burdel? Cywile płaczący się na miejscu zbrodni? Ciało leży niezabezpieczone? Tu zaraz będą technicy. Posprzątaj to pan na litość boską... — towarzysza gburą nie dodała ani jednego słowa, ale patrzyła na sierżanta z wyrzutem w bladych, zielonoszarych oczach.

Policjant poczerwieniał. Nieprzyzwyczajony do takich połajanek nabrał powietrza w usta, by się bronić. W tym samym momencie dostrzegł czarny karawan, telepiący się po polnej drodze prowadzącej ku rzece. Natura służbisty wzięła górę. Obrócił się i wrzasnął do posterunkowych, kręcących się nieporadnie wokół.

— Zabrać mi stąd tych ludzi! Natychmiast... — widząc jednego z nastolatków, usiłującego podejść do martwej, rzucił wściekłym głosem.

— Masz chęć nocować na dołku? Wynocha! — Przykład sierżanta podziałał. Policjanci sprawnie odgradzili teren, a mieszkańcy widząc, że żarty się skończyły, wycofali się poza taśmę. Dopiero teraz nowo przybyli, bez pośpiechu podeszli do zwłok.

— Na pewno utonęła... — zaczął sierżant, który pojawił się nie wiadomo skąd. Za wszelką cenę chciał zmazać złe wrażenie. Nikt mu nie odpowiedział, więc stanął w lekkim rozkroku przy nogach denatki i dodał.

— Chłopcy przykryli ją płachtą, dość przykry widok... — przerwał, widząc, jak nadkomisarz odsłania ciało. Uważnie obejrzał fragment roztrzaskanej głowy ofiary. W nozdrza obecnych ze zdwojoną mocą uderzył smród rozkładającego się ciała.

— Tak, utonęła, a twarzoczaszka rozpuściła się w wodzie... — szyderczo rzucił mężczyzna. Spojrzał przez ramię na sierżanta i obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

— Nie masz czasem jakichś zajęć? Twoje pomysły niewiele wniosą, a zdeptujesz ślady... — twarz podoficera ponownie oblała się purpurą. Od dawna nikt nie potraktował go jak uczniaka, nierozgarniętego młokosa. Zrobił przepisowy w tył zwrot.

— Zabójstwo — To nie było pytanie. Kobieta odezwała się po raz pierwszy od przyjazdu. Przysłoniła usta i nos chustką, chcąc chociaż trochę zmniejszyć dyskomfort przebywania w pobliżu rozkładających się zwłok. Jej towarzysz, zamyślony, skinął potakująco głową. Wydawał się być nieczuły na potworny odór.

— Poczekamy na raport patologa — zaczął cicho — ale jak dla mnie, dostała jakimś ciężkim narzędziem — mimo kilkunastu dni przebywania w wodzie, w ofierze bez problemu można było rozpoznać kobietę.

— Zabójca nie dał jej żadnych szans — ciągnął, obserwując okiem zawodowca obrażenia. Gdzieś za ich plecami rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Wokół zaroilo się od policjantów służby kryminalnej. Nadkomisarz wraz z towarzyszką cofnęli się kilka kroków, by nie przeszkadzać w zabezpieczaniu ciała do przenosin, wymieniając między sobą ciche uwagi. Zamilkli, gdy nosze z ciałem zabitej powędrowały do karawanu.

— Sierżancie... — podoficer w mgnieniu oka znalazł się przy nadkomisarzu.

— Znaleźliście coś ciekawego? Jakież interesujące zeznania? — Bezosobowy głos detektywa wydawał się mieć znacznie przyjemniejszy tembr, niż na początku. Chłodne, beznamietne oczy spojrzały na podoficera nieco przyjaźniej.

Dyskutowali przez chwilę, ale sierżant miał niewiele do dodania, ponad to, co sami zobaczyli. Ciało odnaleziono dwie godziny wcześniej, natychmiast wezwano służby... Żadnych śladów, dokumentów. Nikt nie pokwapił się przeszukać ubrania ofiary. Daleko posunięty stan rozkładu skutecznie wybił z głowy pomysły tego typu okolicznym amatorom cudzego mienia.

— Dobrze — zakończył krótko nadkomisarz. Nie wydawał się rozczarowany tą niewielką ilością informacji. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobyl stamtąd wizytówkę.

— Gdybyście jeszcze coś znaleźli, albo pojawiłby się jakiś świadek, dzwońcie — detektyw rozejrzał się wokół, jak gdyby szukał jeszcze kogoś, komu mógłby wręczyć wizytówkę, ale kilkanaście par oczu, bezmyślnie wgapiających się w czynności techników kryminalistyki skutecznie odwiodło go od tego pomysłu.

— Oczywiście nadkomisarzu Sanowski — odpowiedział służbiście sierżant, pieczołowicie chowając wizytówkę do portfela. Detektyw uśmiechnął się zdawkowo i zakończył rozmowę. Wraz ze swą towarzyszką podążyli do samochodu. Stali jeszcze dłuższą chwilę przy sedanie, lustrując okolicę, po czym bez pośpiechu odjechali.

Podoficer obserwował ich w milczeniu, postukując palcami w kolbę pistoletu schowanego w kaburze na pasie.

— I co szefie? Mocno rozeźleni? — Sierżant usłyszał za sobą pytanie, wyartykułowane przez najmłodszego z posterunkowych. Był na służbie od niespełna pół roku, swoją werwą i energią mógł obdarzyć przynajmniej cztery lokalne posterunki. Zazwyczaj drażnił swoim dobrym humorem, ale tym razem sierżant uśmiechnął się, bardziej nawet do siebie niż do podwładnego. Nie odwracając się mruknął.

— Wkur...ieni młody, że odbierasz im chleb...

*

Gabinet nadkomisarza Sanowskiego zawsze był wzorem na komendzie, nawet wówczas, gdy dzielił go z kolegą. Awans i sukces zapewniły mu samodzielne pomieszczenie. Niewielkie, schludne wnętrze wypełniał zapach roślin, umieszczonych na parapecie. Nowoczesne szafy wypełniały akta prowadzonych spraw i fachowa literatura. Ściany lśniły bielą, świadcząc wyraźnie o tym, że właściciel gabinetu nie pali. Obraz psuła jedyna toporna obudowa świetlóвки pod sufitem.

Na wygodnym fotelu, w milczeniu siedział Sanowski. Przygryzając wargi, przeglądał raport patologa, gęsto upstrzony zdjęciami. Mógł sobie pogratulować doświadczenia. Medyk w całości potwierdzał jego wcześniejsze domysły. Przednia część czaszki została zmiażdżona ciężkim, tępym przedmiotem. Patolog znalazł tam ostry odprysk skały. „Prawdopodobnie kostka brukowa” — widniał podpis pod jednym ze zdjęć. Wyglądało to na robotę zwyrodnialca. Morderca pastwił się nad ciałem ofiary długo po tym, jak umarła.

Odgłos otwieranych drzwi odwrócił uwagę nadkomisarza od makabrycznego materiału. Podniósł wzrok. Na widok drobnej, starszej szatynki uśmiechnął się krótko.

— Mam tu informacje o zgłoszonych zaginięciach Andrzeju... — miała chropowaty, nieprzyjemny głos. Jej twarz wskazywała wyraźnie na przebyte lata. Z pewnością mogła już iść na emeryturę. Mimo to pozostawała w służbie, będącej całym jej życiem. Nawet podległość pod młodszego Sanowskiego nie przeszkadzała ani trochę.

— Doskonale pani Iwono — nadkomisarz nie wyzbył się maniery zwracania się do niej per „pani”. Przepracowane wspólnie lata, ani prośby kobiety nic nie dały. Zwrot „Pani” musiał pojawić się przynajmniej raz dziennie.

— Mam nadzieję, że tu ją znajdziemy... — mruknęła, siadając z drugiej strony biurka. Zerknęła na blat. Pośród starannie posegregowanych materiałów śledczych dostrzegła raport patologa. Sanowski skinął przyzwalająco głową. Sięgnęła po papiery, szybko przesuwając wzrok po kilkudziesięciu linijkach, starannie wypełnionych tekstem. Beznamiętnie obejrzała zdjęcia z miejsca odnalezienia zwłok. Skrzywiła się dopiero na zbliżeniach, obrazujących uszkodzenia głowy.

— Szczegółowy opis — mruknęła, gratulując sobie w duchu, że nie zjadła obiadu. Widziała już ofiary wielu zabójstw, ale tak bezmyślnego okrucieństwa nigdy.

— Może obrażenia powstały częściowo po wrzuceniu do wody? — Nikła nadzieja umarła w niej na dobre, zanim się zagnieździła.

— Nie sądzę — odpowiedział nadkomisarz z chłodną pewnością siebie. Wzruszył ramionami, zły na siebie, że nie potrafi wyobrazić sobie, co skłoniło mordercę do tak gwałtownej reakcji.

— Brak portfela zdaje się nam mówić o rabunkowym motywie — zaczęła Iwona, rozsiadając się wygodniej. Inicjowała dyskusję, mentalne „przeciąganie liny”, wydobywając z obojga szczyty intelektu. Przerzuciła kilka zdjęć, skupiając się na dłoniach ofiary.

— Żadnej biżuterii, nic pod paznokciami... — wyliczała cicho, drażniąc Sanowskiego, zmuszając do zabrania głosu.

— Gwałtu też nie stwierdzono — nadkomisarz gładko wszedł w tok myślenia partnerki — gdyby nie te makabryczne obrażenia, moglibyśmy rzeczywiście uznać zdarzenie za napad rabunkowy... — słysząc jego słowa, kobieta zmrużyła oczy, prezentując delikatną siateczkę zmarszczek. Kiedyś z pewnością usidliła niejedno serce tym spojrzeniem.

— Tyle, że nie broniła się. To musiał być atak z zaskoczenia... — zawiesiła głos, wyzywająco patrząc na kolegę.

— Zasadzka? — Powątpiewanie przebijało się wyraźnie w głosie Sanowskiego — czy w tym przypadku mamy do czynienia z czymś podobnym? — Takie zadawanie pytań było w jego stylu. Teraz on droczył się z Iwoną, starając się znaleźć luki w jej toku rozumowania.

— W takim razie stawiałbym raczej na obrażenia szyi, karku, pleców. Ona ma je nienaruszone — wskazał dłonią na zdjęcia ofiary. Leżały w nieładzie na biurku, przykrywając dokumenty innych spraw.

— Atak z przodu daje dużo więcej szans na obronę — argumentował, raz po raz spoglądając na potakującą koleżankę — nie kupuję tej wersji — rzucił zdecydowanie i sięgnął po przyniesioną przez Iwonę teczkę ze zdjęciami zaginionych kobiet.

— Póki co, nie kupuję — poprawiła go z krzywym uśmiechem, przyjmując od mężczyzny część wydrukowanych akt.

— Stara, dobra policyjna robota... — zaczął, powoli przeglądając zdjęcia. Uśmiechnął się sam do siebie i dodał, nie patrząc na partnerkę.

— Taka mi się najbardziej podoba, pani Kalska... — prychnęła w odpowiedzi na jego słowa, skupiając się na aktach. Dłuższą chwilę pracowali w milczeniu. Trudno było porównywać oblicza uśmiechniętych osób ze zdjęć, ze zmasakrowanym wizerunkiem ofiary znalezionej nad rzeką. Mimo tego, głównie na podstawie kształtu dolnej części twarzy i tuszy, Sanowski zdołał wytypować cztery osoby.

— Mamy potencjalnych zwycięzców — mruknął bardziej do siebie, niż do koleżanki, zły na siebie za niezdecydowanie.

— Ja mam tylko jedną — dorzuciła jedną kartę do stosu nadkomisarza, resztę wkładając do segregatora. Zapadła cisza, gdy ponownie oglądali zdjęcia. Po kilku minutach, Sanowski westchnął i odrzucił zdjęcia zaginionych kobiet, trzymane w dłoni.

— Szkoda czasu, trzeba będzie sprawdzić je wszystkie po kolei...

*

— Siyyyyywyyyy! — przed odrapaną kamienicą rozległ się ochryply krzyk kobiety. Niska i szczupła, oparła dłonie na wąskich biodrach, wrzeszcząc wniebogłosy od kilku minut. Szara, poorana pękniętymi naczynekami twarz wskazywała na znaczny nadmiar taniego alkoholu, wlewane go codziennie do gardła. Trzasnęło okno na piętrze, ale nie zwróciła uwagi na zaspanego mężczyznę, wychylającego się ponad parapet. Nabrała powietrza, aby zaanonsować się ponownie, ale uprzedził ją lokator.

— Zamknij ryj krowo, tu śpią ludzie... — rzucił kilka przekleństw. Te zamiast uspokoić, rozjuszyły pijaczkę.

— Sam zamknij japę gnoju... — z jej ust potoczył się prawdziwy rynsztok polskiej mowy. Ani razu się nie powtórzyła, przerywając tylko po to, by zaciągnąć się tanim papierosem. Ku jej satysfakcji, krótko ostrzyżona głowa znikła z otwartego okna.

— Wyłaż Siiiwy, mam butelkę!...

Zbiegał na dół po schodach, czując jak serce bije coraz mocniej. Jego ciało powoli ogarniała euforia. Jak wtedy, nad rzeką. Jeszcze miesiąc temu nie odważyłby wychylić się z okna, wdać w słowną utarczkę. Teraz nie zamierzał odpuścić swej rozmówczyni jednego przekleństwa, którymi przed chwilą tak ochoczo szafowała. Jednym kopnięciem otworzył sfatygowane drzwi wejściowe do kamienicy.

Słyszac trzaśnięcie, pijaczka obróciła się gwałtownie, zaskoczona widokiem lokatora z piętra. Kobieta nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. To nadmiar używek sprawił, że wyglądała na znacznie więcej. W dłoni trzymała siatkę z trzema butelkami taniego wina.

— Wyjazd stąd p..zdo! Raz — Wskazał dłonią na pustą ulicę — Darcie brudnej japy zostaw na inne okazje... — nie panując nad sobą, szedł ku niej, unosząc do góry ręce. Kobieta nie cofnęła się na krok. Sięgnęła po jedną z butelek i warknęła chrapliwie.

— Znalazł się bonzo! Do Siwego przyszedłem, nie do ciebie nedorobiony ped...ale! — Kojarzyła szczupłą sylwetkę agresora. Kilkakrotnie mijał ich chyłkiem, gdy na ławeczce w parku piła wino ze znajomymi. Nie wydawał się groźny, aż do dzisiaj.... Poczula, jak szarpnął ją za wymiętą bluzkę.

— Gdzie z łapami brudasie! — Zamachnęła się butelką, trafiając agresora w czoło. Trzasnęło szkło, zalewając twarz mężczyzny tanim trunkiem.

— Pooolicjaaa! — Wydarł się ktoś w budynku. Nie dbał o to. W głowie szumiało mu po ciosie. Cofnął krok do tyłu, starając się zogniskować wzrok na kobiecie. Dostrzegł jej triumfująca minę.

— I niech to będzie dla ciebie nauzką, że nie zaczyna się z Zośką... — przerwała, widząc jak ponownie rusza ku niej. Gdzieś za plecami usłyszał szybkie kroki, a głośny bas objawił pojawienie się największego pijaka w okolicy.

— Co się tu ku...rwa dzieje? Zośka, co ty najlepszego zrobiła?... — Nawet ten głos nie zdołał go powstrzymać. Sięgnął w przeredzone włosy pijaczki i szarpnięciem powalił ją na ziemię. Zamierzał kopnąć ją w głowę, ale nie zdążył, gdy silne ręce „Siwego” odciągnęły go od leżącej.

— Jaki bojowy... — szeroki w barach, ale solidnie zniszczony alkoholem mężczyzna bez problemu poradził sobie z napastnikiem. Otwartą dłonią uderzył go silnie w twarz. Odgłos, niczym trzaśnięcie deski o beton, rozległo się echem. Na jego twarzy wykwitł czerwony ślad po ciosie.

— Spier...alaj na górę leszczu. Dać się pobić babie... — zarechotał „Siwy” trzymając swą ofiarę za kołnierz. Zawtórowała mu pijaczka, dogadując bezpiecznie.

Cała trójka nie dostrzegła radiowozu, powoli wtaczającego się na podwórko. Zawyla syrena, uruchomiona na krótką chwilę.

— Policja! — Rozległo się głośno z megafonu. Trzasnęły drzwi pasażera i kierowcy. W polu widzenia „Siwego” pojawiła się atletyczna dwójka młodych policjantów. Wyższy z nich przedstawił się zimnym tonem i zarządził dokumentów.

— I jeszcze psy sprowadziłeś... — sapnął „Siwy”, puszczając kołnierz lokatora z piętra.

— Grzeczniej proszę — głos policjanta świsnął, niczym bicz. Pobieźnie obejrzał dowód osobisty kobiety. Czekał chwilę, zanim mężczyźni dostarczyli swoje dokumenty, indagując kobietę. Ta, gestykulując rękoma, obrazowo próbowała tłumaczyć zajście.

— ... i wie pan, panie władzo. Lezie na mnie z podniesionymi rękoma. To mu przyje...bałam butelką, ale było mu mało. Dopiero „Siwy” złapał go za ryj... — policjant pokiwał głową, sięgając po alkomat. Żadne z uczestników zajścia nie było trzeźwe.

— Dobrze. Pani i pan — policjant ruchem głowy wskazał na „Siwego” odzianego jedynie w podkoszulek i bokserki — pojedziecie z nami. Ty pójdziesz do siebie, do mieszkania i nie będziesz mi dziś robił więcej problemów?! — Spojrzał uważnie na twarz lokatora powalaną winem i resztkami szkła. Miał ogromne szczęście, że cios butelką zakończył się jedynie sporych rozmiarów guzem na czole.

— Nie będę... — mruknął pod nosem, kiwając potakująco głową.

— Jak to, do samochodu? — wrzasnął „Siwy”, nie chcąc pogodzić się z decyzją stróża prawa. Nie zamierzał milczeć. Przeciwnie, głośno artykułował swój sprzeciw — to tego gnoja chcecie puścić, a nas do „suki”? — próbował sięgnąć ku skruszonemu sąsiadowi. Drugi z policjantów, milczący dotąd, czujnie podskoczył naprzód, strzelając „Siwemu” pieprzowym gazem prosto w oczy. Pijak zwinął się natychmiast w kłębek upadając na ziemię. Spomiędzy rąk, przyciśniętych do twarzy dobiegł jęk bólu.

— Do samochodu! Już! — Pijaczka, przestraszona rozwojem sytuacji, bez oporów usiadła w zakratowanej części radiowozu. Jej towarzysz, podniesiony przez policjantów usiadł obok.

— Do domu. I nie wychodzisz dziś na dwór — powtórzył pierwszy policjant do lokatora z pierwszego piętra. Nie czekając na jego odpowiedź wsiadł. Mężczyzna dopiero teraz otarł oczy z wina. Z ponurym wyrazem twarzy obserwował wyjeżdżający radiowóz. Już było tak dobrze! Wydawało się, że życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, gdy udowodnił sobie, że ma siłę, że może dokonać każdego czynu, że nic go nie ogranicza.

Ten drwiący śmiech „Siwego”, wrzaski i porażka w starciu z Zośką. Próbowali sprowadzić go z powrotem do beznadziei, w jakiej tkwił tyle lat. Kontynuowali dzieło jego dawnych prześladowców.

Zmełł w ustach przekleństwo. Udowodni tej przeklętej pijaczce i jej fagasowi, że tym razem tak nie będzie! Znał sposób by odwrócić swój los!. Szedł powoli w górę, po schodach, wprost do mieszkania. Jego twarz rozjaśnił ponury uśmiech. Już nikt nie będzie go dręczył...

*

Ciemność spowijała miejskie, opustoszałe ulice. Było grubo przed północą, a przechodniów nawet na lekarstwo. Tylko część lamp oświetleniowych działała, potęgując przygnębiający obraz opuszczonego miasta. Gdzieś w oddali dudniła przytłumiona muzyka.

Czuł, że jego ciało ogarnia zimno. Sięgnął za pazuchę, po niewielką, płaską butelkę z wódką. Rozejrzał się, czy aby gdzieś w pobliżu nie czai się policyjny radiowóz. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, pociągnął spory łyk. Przełknął palący trunek przez gardło, czując, jak łyzy napływają mu do oczu. W tej samej chwili, na niewielkim skrzyżowaniu, dwieście metrów dalej, dostrzegł szczupłą sylwetkę, starannie osłoniętą płaszczem. Spod kaptura widać było bijącą poświatę ekranu telefonicznego. Natychmiast schował butelkę i ruszył w stronę nieznajomej. Rękawem brudnego swetra otarł twarz. Na taką okazję czekał cały wieczór. Żadna pijaczka nie będzie go wyzywać od ścierw!. Krok za krokiem zbliżał się ku powoli idącej postaci. Był już blisko. Rozejrzał się. Choć w wielu oknach paliły się światła, nikt nie obserwował ulicy.

Wreszcie, zaafierowana smartfonem kobieta podniosła wzrok, wyczuwając jego obecność. Na szerokim ekranie drogiego telefonu widniał obraz poczty elektronicznej. Starannie utrzymana fryzura, makijaż i gustowny kostium, widoczny pod płaszczem świadczył wyraźnie o tym, że nieznajoma należy do nielicznej grupki dobrze zarabiających szczęśliwców.

— Słucham? — Zmarszczyła brwi, wyniośle spoglądając na skromnie odzianego mężczyznę. W nozdrza uderzył ją smród dawno niemytego ciała.

— Nie mam drobnych, więc z łaski swojej... — wskazała dłonią odzianą w rękawiczkę pustą ulicę. Wypowiedziała to tonem osoby przyzwyczajonej do wydawania poleceń. Nie

spojrzała w jego nieogoloną twarz, nie dostrzegła oczu wypełnionych szaleństwem. Zignorowała jego obecność, poświęcając uwagę urzędzeniu.

Mężczyzna rozejrzał się raz jeszcze. Szybko. Wokół było pusto. Uczucie siły uderzyło mu do głowy. Cały zadrżał. Pierwszym uderzeniem wytrącił kobiecie telefon z dłoni. Cofnęła się pół kroku i wtedy rzucił się ku niej z szeroko rozcapierzonymi dłońmi. Dopiero teraz, zorientowała się w sytuacji. Gorączkowo próbowała sięgnąć do niewielkiej torebki, ukrytej pod płaszczem. Nie dał jej najmniejszych szans. Zacisnął dłonie na jej szyi i szarpnął. Kobieta, stojąc na wysokich szpilkach natychmiast straciła równowagę i przewróciła się, pociągając napastnika za sobą. Wydała stłumiony jęk, gdy nadgarstek prawej dłoni, zaplątanej w fałd płaszcza, trzasnął. Nie wytrzymał ciężaru całego ciała. Poczła jak domniemany żebrak przyciska jej klatkę piersiową, uniemożliwiając zaczerpnięcie powietrza i krzyk. Próbowała się bronić zdrową ręką. W odpowiedzi, atakujący mężczyzna zasypał ją dziesiątkami uderzeń. Traciła siły w nierównej walce. Odruchowo kopnęła go kolanem w bok. Dopiero wtedy zareagował, skrytym jęknięciem, którego nie zdołał powstrzymać.

— Ty suko... — wysyczał niczym zwierzę, sięgając za pazuchę. W słabym blasku latarni błysnęło ostrze krótkiego, kuchennego noża. Uniósł je w górę, tak by mogła je zobaczyć

— Myślisz sobie, że możesz ze mną pogrywać? — zadał cios, nim zdołała cokolwiek odpowiedzieć. Ostrze ze zgrzytem wdarło się pomiędzy żebra kobiety. Dopiero ten ból wydobyl z jej krtani, ściśniętej przerażeniem, słaby okrzyk. Uderzał jak w amoku. Wyczuwał, jak słabnie. Lewa ręka opadła. Ciało bezwładnie poddawało się kolejnym uderzeniom.

— I zapamiętaj to sobie, zdiro... — wysapał wreszcie zabójca, ciężko oddychając. Wpatrywał się w twarz swej ofiary, jej półotwarte oczy i usta. Wziął zamach i uderzył martwą w policzek. Głowa przechyliła się w bok.

— Nie gap się tak! — Powoli podniósł się. Adrenalina buzowała we krwi. Nabrzmiąte żyły na skroniach wydawały się być na skraju eksplozji. To on rozdawał karty na nocnych ulicach miasta. On, nie pijaczka Zośka i idiota „Siwy”. On!

W oddali rozległ się dźwięk sportowego silnika samochodu. Spłoszony, kucnął. Czujnie obserwował stary, sportowy wóz, który przemknął przez skrzyżowanie, pędząc grubo ponad setkę. Zaklął pod nosem. Dziurawy tłumik z pewnością obudził okolicznych mieszkańców. Siegnął po wyprostowaną nogę ofiary i pociągnął ją za sobą, wprost w gęste zarośla rosnące wzdłuż chodnika.

Poczuł na odkrytej dłoni pierwsze krople deszczu. W chwili, gdy wciągnął ciało pomiędzy rozłożyste, gęste krzewy, z ciężkich chmur, wiszących od wczoraj nad miastem, lunęło. Deszcz powoli przesiąkał przez gęstwinę, mocząc starą kanapę, przytarganą tu zapewne przez okolicznych wielbicieli tanich trunków. Kilka butelek po winie wałało się wokół. Rozejrzał się z zadowoleniem. Jego wzrok przykuło blade udo, częściowo widoczne spod zadartej spódnicy ofiary. Położył na nim drżącą dłoń. Wciąż wydawało mu się, że czuje jej ciepło. Sapnął z zadowoleniem, przesuwając dłoń wyżej. Podniósł wzrok. Głowa zabitej przesunęła się nienaturalnie w bok. Martwe, matowe oczy kobiety wpatrywały się w swego zabójcę.

— Mówiłem — warknął — nie gap się tak! — sięgnął po jeden z kamieni, leżących przy kanapie. Zaczął uderzać w głowę denatki. Nie dbał o odpryski krwi, fragmenty kości. Musiał rozładować wściekłość, jaka go zniecka ogarnęła. Chciał by wróciła satysfakcja, euforia. Wreszcie odrzucił zakrwawione improwizowane narzędzie i cofnął się pół kroku, siadając na mokrej ziemi. Oddychał ciężko, jak po biegu. Był cały mokry. Kępa krzaków nie chroniła przed szalejącą burzą ani trochę. Odwrócił się by odejść, gdy do głowy przyszło mu, że może to właśnie tu przesiaduje „Siwy” ze swoją pijaczką.

— O nie! — mruknął pod nosem, wychylając głowę spomiędzy krzaków. Z zadowoleniem dostrzegł najbliższą studzienkę ściekową.

— Tej baby nie dostaniesz gnoju! — stęknął, dźwigając ciężką pokrywę. Ciemne niebo przeszła błyskawica, której niemal natychmiast zawtórował ogłuszający huk gromu. Wyciągnął zamordowaną spod krzaków i zaczął ciągnąć po rozmięknętej ziemi wprost ku ulicy. Stojąc nad otwartą studzienką, zawahał się na moment, ale ciężące ciało zaczęło zsuwać się w dół pod własnym ciężarem. Puścił jej lodowatą dłoń. Nie patrząc w czarny otwór kanalizacji, pośpiesznie zamknął pokrywę.

Stał w deszczu, patrząc na metalowy krąg, oddzielający go od ofiary. Powoli uspokajał się. Dopiero teraz poczuł chłód. Był całkowicie przemoczony.

— Widzisz. Gdyby nie to, że byłaś taką wredną kur... wą, to byłaby fajna randka! — Wrzasnął, ale jego krzyk zagłuszył kolejny grom. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu. Uśmiechał się szeroko. Nigdy, żadnej kobiecie nie odważył się tak powiedzieć. Zawsze spotykał go śmiech i drwiny.

— Nie dzisiaj suki! — Wrzasnął na całe gardło, manifestując swoją siłę — Kto dzisiaj jest górą? Kto?! — Nie śpieszył się, pragnąc, by ta chwila trwała jak najdłużej.... By jego życie miało wreszcie swój sens....

*

Niewielka restauracja pękała w szwach. Szum rozmów zagłuszał płaski telewizor LCD wyświetlający mecz. Większość bywalców, słusznej postury, z trudem mogłaby udawać cywili. „Poranna rosa” od dawna była lokalem, gdzie policjanci stanowili znaczący procent klienteli. Dokładnie naprzeciwko komendy. Właściciel miał dużo szczęścia, zakładając biznes właśnie tutaj. Brak odwiedzin lokalnej patologii, stoliki wiecznie okupowane przez stróżów prawa, bezpieczne przed próbami wyłudzenia haraczy, jakie swego czasu były zmorą całej okolicy. Nie od rzeczy była też znajomość chłopców z drogówki. Zawsze udawało się wyłgać od przekroczenia prędkości o kilka kilometrów....

Sanowski zazwyczaj nie pojawiał się tutaj. Za cały posiłek wystarczała pizza, albo zrobione na szybko kanapki. Tym razem jednak został przymuszony przez zgodną agitację Kalskiej i kolegi z sąsiedztwa.

— Rany boskie — jęknął nadkomisarz, odpowiadając na pośpieszne powitania niższych stopniem kolegów — równie dobrze mogliśmy zostać na komendzie i zamówić coś na miejscu. Wszędzie te same twarze... — dalszą część jego wypowiedzi przerwał tęgi, niski mężczyzna, popychając go w stronę ostatniego, wolnego stolika, mrużąc

— Proszę cię, nie desperuj... — słysząc te słowa, Sanowski zachnął się, ale nic już nie powiedział, posłusznie podążając w stronę wyznaczoną przez kolegę. Tuż przed nim śmignęła wiotka postać Iwony, zajmującej miejsce przy szerokim oknie, przesłoniętym zwiewną zasłoną. Zajrzała za nią i zdeglustowana odwróciła głowę.

— I co tam widać? — zapytał prześmiewczo nadkomisarz, chcąc się zemścić za wyciągnięcie go z gabinetu.

— Ulica, patologia, nic ciekawego — odparła Kalska, bez cienia uśmiechu na twarzy. W jej głosie pobrzmiwały jednak nuty wesołości, którą natychmiast podchwycił drugi z mężczyzn.

— Czy komenda to patologia? Hmm, trzeba by to skonsultować z komendantem Kwarczyńskim... — przerwał, trącony w pulchne ramię przez nadkomisarza.

— Kolego Garczewski. Czy mam przypomnieć, kto tu wcześniej awansował? — Obaj wybuchnęli zgodnym śmiechem. Zdanie z pewnością odwoływało się do ich bogatej, wspólnej historii, datującej się od szkoły policyjnej w Szczytnie.

W międzyczasie, przy stoliku pojawiła się niska, przysadzista kelnerka. Kalska, widząc, że panowie zatopili się we wspólnej dyskusji, szybko złożyła zamówienie dla całej trójki. W milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

— Zjemy coś? — wiecznie głodny Garczewski pierwszy przerwał potok wypowiedzi. Zerknął na rozbawioną koleżankę.

— Wiem, że wy, kobiety zawsze dbacie o linię, ale mężczyzna jest zadowolony tylko wtedy, gdy ma pełny żołądek — mówiąc to, poklepał się po koszuli opinającej pokaźnych rozmiarów brzuch. Nie widząc reakcji Iwony, zaczął rozglądać się za obsługą. Dopiero wtedy Kalska zareagowała, kładąc mu suchą, kościstą dłoń na ramieniu.

— Spokojnie, głodomorze, już zamówiłam. — Widząc pytanie w jego oczach, wyjaśniła — Kiedy wy zajęci byliście dyskusją o zbawianiu świata, zadbałam, żebyście nie umarli przy tym z głodu. Rozbawiony Sanowski pokiwał potakująco głową.

— Oto, co powtarzam ci od dawna, potrzebujesz dobrej partnerki w pracy i porządnej baby w łóżku. Bez tego zmarniejesz nam Mareczku... — umyślnie wypowiedział imię przyjaciela zdobnie, wiedząc, że doprowadza go to do pasji. Drobne złośliwości cementowały ich przyjaźń.

— Ot Andrzejek się odezwał — burknął Garczewski w odpowiedzi. Jego okrągłe oblicze rozjaśniło się niemal natychmiast uśmiechem, gdy dostrzegł wielki talerz na dłoni kelnerki, powoli zmierzającej ku ich stolikowi. Frytki i schabowy — oba ociekające tłuszczem, przysmak Marka, który wszem i wobec ogłaszał, że właśnie zaczyna dietę....

— Gdybyście widzieli to co ja, też byście pościli kilka dni — Garczewski zachłannie sięgnął po posiłek, nie pozwalając wyprzedzić się nikomu innemu. Przyciągnął talerz do siebie i głęboko wciągnął zapach pieczonego.

— Rzadko się zdarza taka masakra... — zaczął krojąc mięso. Widząc, że przyjaciele również mają już przed sobą swoje porcje, mówił dalej.

— Dwa dni temu znaleźli kobietę w kanale. Wyobrażacie sobie, jakiś bydlak wrzucił ją głową naprzód — zaczął jeść, przerywając na moment makabryczną opowieść. Siedział z zawodowcami, którzy już dawno pozbyli się wymiotnego odruchu podczas takich rozmów.

— Została zmasakrowana. Połamana ręka, ślady pobicia na całym ciele. Niezbyt miły widok...

— To co powiesz o naszej zielonej pani... — odgryzł się Sanowski — kilka tygodni w rzece, głowa roztrzaskana tak, że widzisz jej wnętrze....

Garczewski, słuchając słów przyjaciela, przestał jeść.

— To zabawne — zaczął tonem, z którego ulotniła się cała wesołość — bo właśnie nasza denatka też straciła przednią część twarzy. Jeśli patolog się nie myli, kamieniem.... — słysząc to, Kalska i nadkomisarz spojrzeli na siebie. Rozumieli się bez słów. Chęć zgłębienia tajemnicy zagłuszyła głód. Cała trójka zapomniała o jedzeniu, restauracji i przyrzeczeniu, że podczas obiadu nie rozmawia się o pracy. W beznadziejnym przypadku zamordowanej, wciąż nieznaną kobiety, mógł pojawić się ślad....

ROZDZIAŁ II

Ciężki, wyczerpujący dzień dobiegał końca. Sanowski westchnął sięgając po tłęcego się papierosa. Za oknami gabinetu dawno już panował mrok. Czuł pulsujące skronie, przemęczony umysł odmawiał posłuszeństwa. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nieprędko nadarzy się kolejna okazja przedstawienia swoich racji komendantowi.

Nadkomisarz wstał i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Nie potrafił uspokoić myśli. Z każdą godziną był coraz bardziej pewny, że sprawa prowadzona przez Garczewskiego łączy się w jakiś sposób z zabójstwem nieznaną kobiety, które usiłował rozwikłać. Na głos powtarzał argumenty, jakimi zamierzał przekonać szefa.

Trzasnęły otwierane drzwi. Stał w nich spocony Marek Garczewski, dźwigając pod pachą opasy segregator z materiałami.

— Dobrze, że nie będę musiał po nie sięgać... — mruknął pod nosem Sanowski, widząc imponujące plamy potu pod pachami kolegi.

— Higienista się znalazł — zachnął się Garczewski, po czym z westchnieniem ulgi rzucił dokumentację na biurko. Usiadł na krześle i starał się uspokoić oddech. Dopiero po dłuższej chwili dodał.

— Przekłęte trzecie piętro — widział, jak nadkomisarz sięga po wodę mineralną i dodał — nie przyszło ci do głowy, zażyczyć sobie gabinetu na parterze? Taka gruba ryba jak ty z pewnością dostałaby wszystko...

— Oczywiście — Sanowski podał przyjacielowi mineralkę. Ten natychmiast zaczął pić potężnymi łykami.

— Wyglądałbym tak jak ty... — sięgnął po wodę — ... zadławisz się chłopie... — Garczewski oddał pustą butelkę i westchnął głęboko, jak gdyby wypływał z głębokiej toni.

— Uff, dzięki chłopie, suszy mnie dziś od rana... — dalszą część wypowiedzi przerwało krótkie, ostre przywitanie przełożonego. Szczupły, krzepki, w sile wieku. W ruchach i oczach dało się dostrzec pełne zdyscyplinowanie i przyzwyczajenie do posłuchu. Obaj detektywi, jak na komendę, wstali z foteli.

— Czołem panowie! — komendant stanął przy biurku, znacząco spoglądając na dokumentację przyniesioną przez Garczewskiego.

— Podobno macie dla mnie jakąś rewelację? — Usiadł wygodnie na miejscu Sanowskiego. Nadkomisarz natychmiast podał mu teczkę, trzymaną przez cały czas w dłoni. Biedził się nad nią całe popołudnie.

— To sprawa kobiety NN, którą prowadzę razem z Kalską... — zaczął gospodarz gabinetu i przerwał, gdy do pomieszczenia wpadła Iwona. Przytrzymała się futryny, by uniknąć uderzenia w drzwi i krzyknęła z triumfem.

— Mam tą bestię... — urwała w pół słowa, widząc sylwetkę komendanta. Wesołość zniknęła z jej twarzy. Wprostowała się i weszła do pokoju.

— Zidentyfikowaliśmy denatkę — wyjaśniła, czując na sobie wzrok trójki mężczyzn — to Bożena Marewska. Sześćdziesiąt pięć lat, emerytka, mieszkała u nas, w centrum miasta... — Stała przy biurku, podając komendantowi wydruk faksu. Mężczyzna przebiegł oczyma kilkanaście linijek tekstu i podał dokument nadkomisarzowi.

— Jesteście niezli, to fakt — mruknął komendant. Splótł dłonie na brzuchu i przenosząc wzrok z Kalskiej na Sanowskiego, rzucił ironicznie.

— Ja to wiem, wy to wiecie — zawahał się i dodał złośliwie — ... i nie wiem, czy to dobrze, bo zaraz mi będziecie szumieć o podwyżce... — wzruszył ramionami.

— Moment szefie, to dopiero przystawka — nadkomisarz podziękował wzrokiem swojej partnerce i kontynuował wypowiedź.

— Mamy dwa zabójstwa. Oba okrutne, dokonane w podobny sposób, tutaj — otworzył segregator przyniesiony przez Garczewskiego.

— Ten sam charakter obrażeń — nadkomisarz podał przełożonemu opis miejsca zbrodni — w obu przypadkach brak świadków. Niewielki odstęp czasowy... — referował dłuższy czas, omawiając oba morderstwa, ilustrując je zdjęciami patologów.

— Dobrze, zainteresowaliście mnie — komendant porównał zdjęcia obu ofiar. Umysł policjanta, który widział wiele, szedł ścieżkami rozumowania wydeptanymi wiele lat temu.

— Jak dobrze rozumiem, sugerujecie seryjnego mordercę? — Cała trójka, jak na komendę, kiwnęła potakująco głowami.

— Trochę za mało materiałów na grupę śledczą — komendant zerknął na zegarek, wstał i poprawił nieskazitelnie ułożony mundur. Widział w oczach podwładnych zawód i rozczarowanie.

— Oczywiście, przy tych sprawach możecie pracować razem. Jeśli wypłynie coś bardziej przekonującego, dajcie znać... — nikt nie zaprotestował. Istotnie, pomysł, jaki

zrodził się przy obiedzie, doskonale wyglądał jeszcze pięć godzin temu. Tyle, że wydawał się zbyt prosty. Sanowski, dobrze znający przełożonego, pierwszy otrząsnął się z ponurego nastroju, w jaki wpadli po wyjściu komendanta.

— Stary dał nam zielone światło na wspólne dochodzenie. To już coś — starał się wydusić ze swego głosu pozytywnej energii. Jego przyjaciel nie podzielał jednak tego optymizmu. Spojrzał najpierw na drzwi, za którymi zniknął szef, potem na nadkomisarza i powiedział ponuro.

— My się zastanawiamy nad grupą śledczą, a tam — wskazał na miasto — grasuje tam menda. Kawał skur...syna, który tak zmasakrował te kobiety, nie ma sumienia i oporów... — usiadł, jak gdyby przestraszył się swego wybuchu. Kalska i Sanowski milczeli, dając mu szansę wygadania się.

— Mam dwie siostry, matkę. Mieszkają niedaleko...

— Przestań! — Przerwała ostro Kalska, kładąc na ramieniu biadolącego tłuszciocha kościstą dłoń.

— Wypalisz się, myśląc o tym. Jedyna szansa, by dopaść gnoja, to wziąć się ostro do roboty. Płacz tu nic nie pomoże!

Otrzeźwiający, silny głos Iwony podziałał na obu detektywów. Trzy głowy pochyliły się nad dokumentacją.

Zapowiadała się długa noc...

*

Kolejny krzyk na śmierzdzącej klatce schodowej obudził go. Odruchowo przycisnął do głowy starą poduszkę, niczym mały chłopiec, który chce uciszyć odgłosy kłótni rodziców. Dopiero po chwili opanował się, rozpoznając w męskim głosie „Siwego”. Wielki prymityw tego popołudnia wrócił z policyjnego dołka. Nie omieszkał zawiadomić okolicznych mieszkańców o swoim powrocie, głośną awanturą. Zdążył już zapomnieć zatarg z samotnym lokatorem niewielkiej kawalerki. Teraz trafił na kogoś z parteru. Słowny rysztoł, od czasu do czasu, przerywały zwykle słowa.

— Kawał kut...asa — mruknął sam do siebie. Przewrócił się na drugi bok i spojrzał na milczący, zgaszony telewizor. Opłacił zaległe rachunki i od wczoraj miał prąd, ale jakoś nie potrafił zmusić się, aby go włączyć. Żaden film nie potrafił przyciągnąć jego uwagi. Kiedyś potrafił siedzieć godzinami, śledząc losy zmyślonych bohaterów. Teraz wszystko to wydawało mu się płaskie, pozbawione sensu. Wiedział, jak mógłby wypełnić tę pustkę. Na samą myśl o tym, krew uderzała mu do głowy, jak po wódce. Przypomniawszy sobie jej ostatni jęk. Taki rzeczywisty, taki prawdziwy. Stwierdzający, kto tak naprawdę decyduje o wszystkim. Nawet jeśli nie wszyscy o tym wiedzieli, ona tak!

Kłótnia na schodach powoli wygasła. „Siwy” rzucił jeszcze dwa soczyste przekleństwa i zamilkł. Chwilę później trzasnęły drzwi do jego mieszkania i zapadła cisza. Wsłuchiwał się w nią, siadając na łóżku. To, co wydawało się jedynie wspomnieniem, zaczynało kiełkować w nieśmiały pomysł. Opuścił nogi na podłogę, odszukując nowe buty, które kupił zaledwie wczoraj. Takie jakie zawsze chciał mieć. Ciemne, sportowe, z odpowiednim logo. Założył je i powoli wyszedł na korytarz. Na słabo oświetlonej klatce schodowej nikogo nie było. Przemknął na dół, niczym ścigany zwierz. Zreflektował się dopiero przy wyjściu. Spojrzał w górę, mierząc wzrokiem pojedyncze okno mieszkania „Siwego”. Zamierzał wrócić z podniesionym czołem, jak zwycięzca.

Wczesny zmierzch okrył miasto całunem mroku. Rozgwieżdżone niebo, nawet pozbawione księżycy, wyglądało przepięknie. Nie zwrócił na nie uwagi, pochłonięty myślą o nadchodzącym spotkaniu. Tej chwili, gdy to on był na szczycie. Gdy on rozdawał karty i decydował o wszystkim... Niewiele myśląc, skierował swe kroki wprost ku nadrzecznemu bulwarowi. Wieczorny chłód wdzierał się pod znoszony sweter, ale nie dbał o to. Minął parę, obściskując się na ławce i przystanął kilka kroków dalej. Ukradkiem zaczął obserwować

dwójkę nastolatków. Krew uderzyła mu do głowy. Na moment mignęło mu nagie udo dziewczyny, gdy ręka chłopaka bezceremonialnie wdarła się pod jej suknię. Głośno przełknął ślinę, jak człowiek spoglądający na wytworne danie, który nie jadł od wielu dni.

— Ej... — pełen oburzenia głos wyrwał go z zamyślenia. Obserwację zauważył nastolatek. Oderwał się od swojej partnerki i wstał, zadziornie spoglądając w stronę podglądacza. Młody był znacznie lepiej zbudowany. Mięśnie grały pod sportową bluzą.

— Co to, porno na żywo? Wypieprzaj stąd zbrojeńcu! — niczym żywy czołg, ruszył w jego stronę. Kontrolę nad nogami przejął instynkt samozachowawczy. Mężczyzna nie czekając na konfrontację, odwrócił się i pomknął przed siebie. Zaskoczony młodzian dopiero po chwili roześmiał się głośno, z satysfakcją. Niespodziewane starcie dodało pieprzyku nocnej schadzce.

— Spadaj leszczu! — rechot nastolatka zapuścił w jego sercu ostrze bezsilnego gniewu — czując, jak serce bije mu gwałtownie, zwolnił. Organizm, katowany papierosami i alkoholem nie był w stanie wytrzymać biegu dłużej, niż kilka minut. Dostrzegł pustą ławkę i chwiejnym krokiem podszedł do niej. Usiadł z rozmachem, aż zatrzeszczały deski. Rozejrzał się wokół. Nie widząc swego prześladowcy, ukrył głowę w dłoniach. Próbował poradzić sobie z afromem, jaki go spotkał. I to w pobliżu miejsca, gdzie po raz pierwszy wyzwolił się z przeszłości!. Powoli się uspokajał. Chłód nocy działał kojąco, wyciszał. Ruch na pobliskiej ulicy zamarł. Dochodziła północ, gdy przemarznięty, zdecydował się wracać. Ociężale podniósł się z ławki. Kątem oka dostrzegł ruch. Sądząc, że to jego dzisiejszy prześmiewca, obrócił się gwałtownie. Widok drobnej, niskiej postaci uspokoił go. Przeszła pośpiesznie tuż obok. Owiał go zapach damskich perfum. Wciągnął je, oddychając głęboko. Spojrzał w rozgwieżdżone niebo i podjął decyzję. Szybkim krokiem ruszył śladem dziewczyny. Pod ciemnym płaszczem, w całości okrywającym jej sylwetkę, trudno było dostrzec kobiece kształty. Na myśl przyszedł mu skrawek nagości, jaki miał szansę zaobserwować dziś wieczorem. Przyspieszył kroku, doganiając nieznajomą. Musiał dobrze wyciągać nogi, żeby nadrobić dystans. Kobieta zorientowała się, że ktoś za nią idzie dopiero wtedy, gdy był tuż obok. Przyspieszyła, skręcając wprost ku opustoszałej ulicy, idąc przez park wysadzany dziesiątkami ozdobnych krzewów. Wyczuł jej strach i uśmiechnął się do siebie. Do seksualnego podniecenia doszło poczucie potęgi. Uciekała przed nim. Bała się go! Szumiało mu w głowie. Nie rozglądał się nawet na boki. Przyspieszył i chwycił dziewczynę za ramię. Zatrzymała się gwałtownie z cichym jęknięciem.

— Zaczekaj — rzucił chrapliwie. Poczula, jak ją obraca ku sobie. Próbowała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w krtani, zaciśniętej przez strach.

— Gdzie uciekasz... — szarpnięciem ściągnął kaptur z jej głowy. Ciemne włosy związane w kok, przerażone oczy, okrągła przeciętna twarz. Ot, zwykła dziewczyna z sąsiedztwa. Uśmiechnął się drapieźnie, czując namacalnie jej strach. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Dostrzegła w nim szaleństwo. Dopiero wtedy wydusiła z siebie nieśmiały krzyk. Mężczyzna chwycił ją za gardło, usiłując przeszkodzić wezwaniu pomocy. Był od niej większy, znacznie cięższy. Nie zważając na jej opór, pociągnął ją za sobą, wprost w gęste zarośla wyznaczające granicę parku. Jej nieporadne próby obrony i łatwość, z jaką sobie z nimi radził, uderzała do głowy bardziej niż alkohol. Niechby teraz zobaczył go ten wielki gnojek, który go przegonił z parku. Teraz, gdy właśnie szedł na całość!

Ofiara próbowała wykorzystać chwilowy brak koncentracji napastnika. Gdy uchwyt na moment zelżał, wydała z siebie głośny okrzyk. Natychmiast poczuła uderzenie w twarz. Drugi cios, w żołądek, sprawił, że skuliła się w kłębek.

— Zamknij jadaczkę ku..wo! — Warknął, rozglądając się na boki. Nikogo nie dostrzegł. Zwrócił wzrok ku skulonej postaci drobnej kobiety. Łkała cicho, ukrywając twarz w dłoniach. Przypomniał sobie, jak podglądał nastolatków. Sięgnął ku nodze swojej ofiary. Skuliła się jeszcze bardziej, potęgując w nim uczucie władzy. Wsunął dłoń pod długą

spódnicę. Poczul nagie, drżące ciało swej ofiary. Nie panując nad sobą, zerwał z niej bieliznę, odrzucając ją za siebie.

— Nie... — zajęczała cicho, budząc w swoim oprawcy jedynie agresję. Wymierzył jej dwa ciosy. Otwartą dłońią na odlew. Rozległy się dwa głośnie trzaśnięcia. Zamilkła, rezygnując z oporu. Nie potrafiła powstrzymać cichych okrzyków bólu, ale nie zwracał na to uwagi, pochłonięty własną chucią. Nie trwało to długo. Szybko podciągnął spodnie, z pogardą patrząc na półnagą kobietę. Na jej odkrytych nogach widział ślady krwi. Powiódł wzrokiem wyżej, na ręce przyciśnięte do boków i oczy wpatrzone gdzieś w przód.

— Spójrz na mnie! — Rzucił władczo, patrząc na nią, niczym udzielny książę. Nie zareagowała, nie poruszyła się, nawet gdy ponowił wezwanie. To wyzwoliło w nim nową falę agresji, kotłującą się od momentu, gdy usłyszał wrzaski „Siwego” na klatce schodowej.

— Jak mówię patrz na mnie, to patrz szmato! — Ryknął, nie zwracając uwagi, że w ciemnościach głos niesie się daleko. Drgnęła, kuląc się w sobie, ale nie odwróciła głowy, wciąż patrząc przed siebie. Wyciągnął z kieszeni młotek. Nie panując nad sobą, zamachnął się. Pierwszy cios zgruchotał kość skroniową ofiary i wydusił z niej słaby, przedśmiertny krzyk, przechodzący w rżenie. Zadawał jej kolejne uderzenia, masakrując twarz kobiety. Dopiero, gdy narzędzie zazgrzytało o kamień, przechodząc na wylot przez głowę ofiary, przestał. Dyszał ciężko. Rozpierało go uczucie satysfakcji. Stojąc nad zamordowaną, rozejrzał się, groźnie potrząsając zakrwawionym młotkiem. To był jego teren! Nawet ten osilek musiał to przyznać!. Rzeźskie, nocne powietrze powoli trzeźwiło jego umysł. Powiódł wzrokiem po zakrwawionej dłoni, kawałkach kości klejących się do palców.

— Widzisz, nie słuchałaś dzi... wko. I już nie jesteś śliczna — rzucił spokojniejszym głosem w stronę ofiary — wszystko mogło wyglądać inaczej...Ale ty nie chciałaś ze mną rozmawiać! — warknął z tajoną wściekłością, która naraz ponownie objawiła się. Uderzył kilka razy bezwładne ciało.

— Czas na kąpiel pindo — sapnął. Bezceremonialnie chwycił ją za nogę i pociągnął ku rzece. Nie baczył na to, że ciągnie się za nimi wąska, krwawa smuga. Bez większego wysiłku wrzucił lekkie ciało do wody. Przez chwilę patrzył na ciemny kształt, okryty płaszczem, powoli odpływający w mrok. Obrócił się na pięcie i wstrzymał oddech, widząc w oddali samotną postać człowieka. Stała przodem do niego. Dopiero teraz zorientował się, że wciąż trzyma w ręku zakrwawiony młotek. Postąpił krok w stronę samotnego wędrowca. Ten jednak nie czekał. Obrócił się i zaczął uciekać.

Uśmiechnął się pod nosem i nabrawszy powietrza w płuca wrzasnął.

— Spier...alaj leszczu!. I tak cię dopadnę! — Wziął zamach i cisnął narzędzie daleko w toń rzeki. Nagle pomyślał, że przypadkowy przechodzień może zadzwonić na policję. Przyspieszył kroku, idąc wzdłuż rzeki, aż do końca bulwaru. Zbiegł po schodkach, wprost na wąską plażę, odsłaniającą się przy niższym poziomie wód. Zrzucił z siebie zakrwawiony sweter i wrzucił go do rzeki. Wtedy zaczął oglądać swoje dłonie, jak gdyby widział je po raz pierwszy w życiu. Zbryzgane krwią, odłamkami kości i fragmentami włosów ofiary. Powoli, nieśmiało, zanurzył dłonie w wodzie. Zaczął spłukiwać z nich ślady morderstwa. Metodycznie, centymetr po centymetrze....

*

— Panie nadkomisarzu, prasa!... — Sanowski zdążył usłyszeć alarmujący, przepraszający głos sekretarki i do gabinetu wtargnęło kilku reporterów lokalnych mediów. Zdążył jedynie przybrać obojętny wyraz twarzy i zamknąć otwartą teczkę, pełną makabrycznych zdjęć.

— Nie uważacie, że to lekka przesada... — zaczął spokojnie — nachodzić człowieka w miejscu pracy?

— „Wiadomości lokalne..” — zaczął najwyższy z reporterów, chudy jak szczapa, z kruczoczarną, falującą fryzurą prosto z lat sześćdziesiątych. Nie zwrócił uwagi na wyrzut nadkomisarza.

— Po mieście grasuje degenerat, czy policja coś z tym wreszcie zrobi? — Podsunął mikrofon detektywowi pod nos.

— Myślę, że na te pytania powinien odpowiedzieć rzecznik prasowy komendy... — Sanowski ani na moment nie tracił pewności siebie.

— Ale to właśnie on skierował nas do pana — wyrwała się stojąca przed biurkiem, niska, przysadzista kobieta. W dłoni trzymała notatnik oznaczony logo ogólnopolskiej gazety.

— Niech pan zrozumie, to wielka sprawa... — jej głos utonął w hałasie zadawanych pytań i przekrzykiwań.

Nadkomisarz zacisnął zęby. Chłodna, bezosobowa mina nic nie mówiła o kotłującej się masie emocji. Obiecał sobie porozmawiać wylewnie z otyłym aspirantem, pełniącym tymczasowo obowiązki rzecznika. Znów spławił dziennikarzy wprost do oficera prowadzącego sprawę. Wtedy się z tego śmiał, gdy ukradkiem obserwował, jak kolega z kryminalnej gimnastykuje się przed kilkoma reporterami.

— Proszę o ciszę! — huknął głośno, zamykając na chwilę usta całej zgrai dziennikarzy. Umyślnie wstał powoli, układając sobie w myślach krótkie oświadczenie.

— Co powie pan o ostatnich wydarzeniach? — Rzucił wysoki dziennikarz, wciąż trzymając przed sobą mikrofon — Czy można już powiedzieć, że w mieście grasuje seryjny morderca? — Oczy wszystkich zwróciły się w stronę nadkomisarza.

— W każdym przypadku mamy do czynienia z zabójstwem — wycedził, spoglądając w otwarte drzwi na korytarz. Wszczął się tam ruch. Koledzy szli Sanowskiemu na odsiecz.

— Żartuje pan sobie? — Weszła mu w słowo krępa dziennikarka — samotne kobiety są zagrożone!

— Proszę nie siać psychozy! — Rzucił ostro — Morderstwa zdarzają się wszędzie.... Nasze miasto nie jest wyjątkiem....

— Dobrze, koniec tej zabawy! — W gabinecie nadkomisarza rozległ się donośny bas zastępcy komendanta. Pomiędzy stłoczonymi dziennikarzami pojawiła się jego potężna postura.

— Zapraszam państwa na konferencję prasową. Odbędzie się ona o godzinie szesnastej w auli urzędu miasta. Proszę natychmiast opuścić to pomieszczenie!

— Tu są materiały operacyjne. Chyba nikt nie chce być oskarżony o utrudnianie śledztwa?! — Krępa dziennikarka już otwierała usta, by rzucić frazes o zamykaniu ust prasie. Zastępca uprzedzając potok słów, spojrział jej prosto w oczy i syknął przez zęby.

— Godzina szesnasta, urząd miasta. Chyba, że naprawdę chce pani zapoznać się bliżej z kodeksem karnym... — Wzruszyła ramionami i ruszyła ku drzwiom. Jej kapitulacja spowodowała lawinę. W ciągu kilku minut Sanowski stał sam w swoim gabinecie.

— Wzięli mnie z zaskoczenia... — mruknął półgębkiem, spoglądając na przełożonego. Barczysty, krótko ostrzyżony brunet uśmiechnął się krzywo.

— Muszę zamienić sobie kilka słów z naszym „rzecznikiem prasowym” — rzucił z przekąsem. Odwrócił się na pięcie i opuścił pomieszczenie, pozostawiając gospodarza samego. Nadkomisarz westchnął i usiadł w fotelu. Zamknął na chwilę oczy. „Cholerna prasa” — zmełł w ustach przekleństwo pod adresem dziennikarzy. Po raz pierwszy, odkąd skończył policyjną szkołę, stracił panowanie nad sobą. Nie podczas akcji, ale tu, w zaciszu gabinetu....

— Nie śpij! — suchy głos Kalskiej wytrącił go z zamyślenia. Iwona zdążyła usiąść przy biurku, z uśmiechem spoglądając na zakłopotanego kolegę. Nigdy wcześniej nie widziała go w takiej sytuacji. Zawsze zazdrościła mu stalowych nerwów, toteż teraz nie omieszkała cieszyć się przez chwilę jego zagubieniem.

— Słyszałam o najeździe barbarzyńców na twój wymuskany gabinet — znaczącym spojrzeniem wskazała na podłogę. Rano spadł deszcz i dziennikarze zdeptali drewniane klepki kilkoma kilogramami schnącego błota.

— Uhm — mruknął nadkomisarz, przyjmując swoją niewzruszoną minę. Kalska nie dała się na to nabrać. Teraz wiedziała, że to jedynie maska, którą kolega nauczył się posługiwać do perfekcji.

— Wygląda na to, że nawet ty jesteś człowiekiem — mruknęła nie bez satysfakcji.

— Przyszłaś się nade mną pastwić? — Utraciwszy raz panowanie nad sobą, z trudem wracał do formy. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, aż wreszcie Kalska przerwała milczenie i podała koledze teczkę, pachnącą jeszcze nowością.

— Kolejna... — na dźwięk tego słowa, twarz Sanowskiego natychmiast stężała. Zapomniał o najeździe reporterów, słownej przepychance z Iwoną. Otworzył dokument. Szybko przebiegł oczyma pierwsze kilka linijek tekstu. Opis patologa brzmiał aż nazbyt znajomo. Zniszczona część twarzoczaszki, ofiara zidentyfikowana na podstawie ubioru i dokumentów. Jego uwagę przykuło kilka końcowych zdań z raportu.

— Gwałt? — Kalska skinęła głową. Wykrzywiła twarz na podobieństwo czegoś w rodzaju uśmiechu.

— W zakładzie medycyny sądowej zabezpieczyli niekompletne DNA sprawcy. Psycholog sporządził też jego profil... — Sanowski słuchając słów partnerki coraz szerzej otwierał oczy. Przerzucał kolejne zdjęcia, obrazujące smugę wyschniętej krwi, przecinającej betonową nawierzchnię nadrzecznego bulwaru.

— Szef dał nam psychologa — odłożył teczkę na biurko. Sięgnął po dawno wystygłą kawę i pociągnął z niej spory łyk. Mimo cierpkiego smaku tej lury, przełknął ją bez zmrużenia oka.

— Znakomicie, po prostu znakomicie. Najpierw odmawia stworzenia grupy. Wystarczy kilku pismaków i natychmiast d..pa się pali... — Kalska kiwała głową, potakując koledze. Czekala cierpliwie, aż wyrzuci z siebie żal. Sanowski był ambitny, nie potrafił zapomnieć, że komendant odrzucił pomysł utworzenia zespołu.

— Według psychologa, zabójca jest niedowartościowany, prawdopodobnie ma uraz do kobiet... — Iwona wykorzystwała dramatyczną przerwę, gdy Sanowski nabrał powietrza, aby kontynuować swoje wywody. Słyszac jej wypowiedź, uśmiechnął się szyderczo. Spojrzał ironicznie na teczkę, potem na partnerkę, przerywając jej.

— Naprawdę? Już rozumiem decyzję szefa. Doskonały profil... — zakończył z naciskiem na ostatnie słowo. Zdziwiona Kalska otworzyła szerzej oczy.

— Nie łapię dowcipu — rzuciła urażonym tonem.

— Błagam cię dziewczyno — westchnął głęboko nadkomisarz — niedowartościowany gnojek z urazem do kobiet? Wystarczy na zdjęcia popatrzeć. Każdej zmasakrował głowę. Atakuje tylko słabszych od siebie. To musi być mocno „budżetowy” psycholog....

— Może i tak — przytaknęła, nie chcąc wdawać się w kłótnię z mężczyzną — w każdym razie coś już mamy. Morderca zaczyna popełniać błędy....

— Mam całą stertę spraw. Ty też. Dopóki szef łaskawca nie zechce stworzyć grupy, będziemy tonąć w tym szambie... — przerwał, kątem oka rejestrując wysoką postać wchodzącą do gabinetu. W myślach przeklinał swój tubalny głos i długi język. Nienawidził czuć się bezradnie, jak ze związanymi rękoma.

— Szef łaskawca organizuje zespół — w zapadłej nagle ciszy, zabrzmiał donośny głos komendanta — Ty, Kalska oraz Garczewski. Przekażcie pozostałe sprawy do oficera dyżurnego. Podlegacie bezpośrednio pode mnie. Oczekuję szybkich postępów. Inaczej góra weźmie się za mnie, a wtedy ja, za was... — oboje spojrzeli na siebie, a potem na przełożonego. Nie zdarzało się, aby Kwarczyński groził, nawet w żartach. Nie bez powodu, miał wśród podwładnych przezwisko „Lodowca”.

— Natychmiast szefie — poderwała się ze swego miejsca Kalska. Oblicze Sanowskiego rozjaśnił zdawkowy uśmiech.

— Czasami marzenia się spełniają — mruknął pod nosem — czas chyba zagrać w totolotka.

— Jak nie znajdziecie tego zwyrodnialca — rzucił z ironią komendant — to wygrana na pewno wam się przyda...

ROZDZIAŁ III

Omszałe mury aresztu wyglądały odpychająco nawet z zewnątrz. Wypełniał je wilgotny smród grzybów, pokrywających część ścian korytarza. Kalska szła tuż za nadkomisarzem, starając się zasłaniać twarz. Jej wzrok przesuwiał się po czarnych plamach widniejących tu i ówdzie przy suficie, zastanawiając się, czy nie nabawi się od tego alergii. Sanowski wydawał się być całkowicie odporny na warunki otoczenia.

„Ostatecznie to tylko gruboskórny facet...” pomyślała, czekając cierpliwie przy kracie. Szczękniętą otwierany zamek, gdy strażnik więzienny bez pośpiechu uchylił solidnie zabezpieczone wejście. Przechodzili do nowszej części aresztu. Też pamiętała XIX wiek, ale zeszloroczny remont podniósł standard osadzonych bardzo wysoko.

— Pokój przesłuchań nr trzy — mruknął bezosobowo strażnik, wskazując pierwsze drzwi po prawej stronie i nie czekając, ruszył dalej. Kalska powiodła wzrokiem po drugiej stronie korytarza. Za każdymi, ciężkimi, metalowymi wrotami tkwił przestępca. Broń służbową zostawili na górze. Nagle poczuła się słaba i bezbronna. Przynęła się bliżej Sanowskiego. Ten kurtuazyjnie przepuścił ją przed sobą. Odruchowo obrzucił spojrzeniem jej sylwetkę. Nigdy nie była w jego typie i nic się nie zmieniło. Pokręcił przecząco głową, wchodząc do środka. Przestronne wnętrze pomalowano białą farbą. Stojący pośrodku, ciężki, solidny stolik przymocowano do podłoża, podobnie jak krzesła.

— Nie ryzykują zbyt, co? — zagadnęła Kalska, chcąc przerwać krępującą ciszę.

— Taa — westchnął nadkomisarz, powoli obchodząc pomieszczenie. Był tu pierwszy raz po remoncie. Musiał przyznać, że istotnie, sporo się zmieniło.

— Krzesłem nikt nas nie napadnie... — zaczął, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich niski, szczupły mężczyzna o szczurzej twarzy. Tuż za nim widniała barczysta sylwetka strażnika więziennego.

— Aresztant Hazański — rzucił krótko, służbiście funkcjonariusz i popchnął lekko więźnia.

— Siadaj — rzuciła krótko Iwona, wskazując ruchem głowy na krzesło. Nadkomisarz stanął tuż za nią, trzymając w dłoni kilka kartek wydrukowanych w pośpiechu tuż przed przyjazdem.

— Rafał Hazański, lat czterdzieści trzy, dwukrotnie skazany za kradzież — podniósł wzrok znad dokumentów i uśmiechnął się z ironią.

— Nie masz szczęścia, co? — Więzień wrzucił ramionami. Jego twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

— Złapany po raz trzeci, na gorącym uczynku — kontynuował Sanowski z szyderstwem w oczach — poszkodowani ocenili straty na pięćdziesiąt tysięcy. Tym razem zabawisz tu dłużej... — Teatralnym gestem położył kopie dokumentów na stoliku. Obszedł siedzącego aresztanta i usiadł obok Kalskiej. Ta w milczeniu lustrowała wzrokiem siedzącego przed nimi mężczyznę.

— Się ma pecha, to się wpada — bąknął Hazański, wbijając wzrok w podłogę — do wszystkiego już się przyznałem, wszystko wiecie. Czego jeszcze tyrpacie mnie... — pozwolił sobie okazać niezadowolenie.

Zapraszam do lektury całości

Pozdrawiam

Tomasz Biedrzycki

SPIS TREŚCI

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[EPILOG](#)

Serdecznie zapraszam do lektury innych ebooków mojego autorstwa:

KRYMINAŁ

[Rodzinna wendeta](#)

[Krag śmierci](#)

[Kodeks ojca](#)

LITERATURA FAKTU

[Saksy po polsku](#)

POSTAPOKALIPSA

[Toutatis znaczy zagłada](#)

[Wyrzut koronalny](#)

FANTASY

[Zerwane kajdany](#)

FANTASTYKA

[Operacja Thor](#)

[Incident na Rigil Prime](#)

[Rigil Prime w ogniu Tom I](#)

[Rigil Prime w ogniu Tom II](#)

[Otchłań Ganimesesa](#)

[Ryft Misharu](#)

oraz
opowiadania dostępne bez opłat

[Najemny Szwadron I](#)

[Najemny Szwadron II](#)

[Zemsta przemytnika](#)

[Śmiertelne przeznaczenie](#)

Zapraszam również na stronę
www.tomaszbiedrzycki.pl
gdzie znajdziecie dodatkowe materiały i opowiadania.